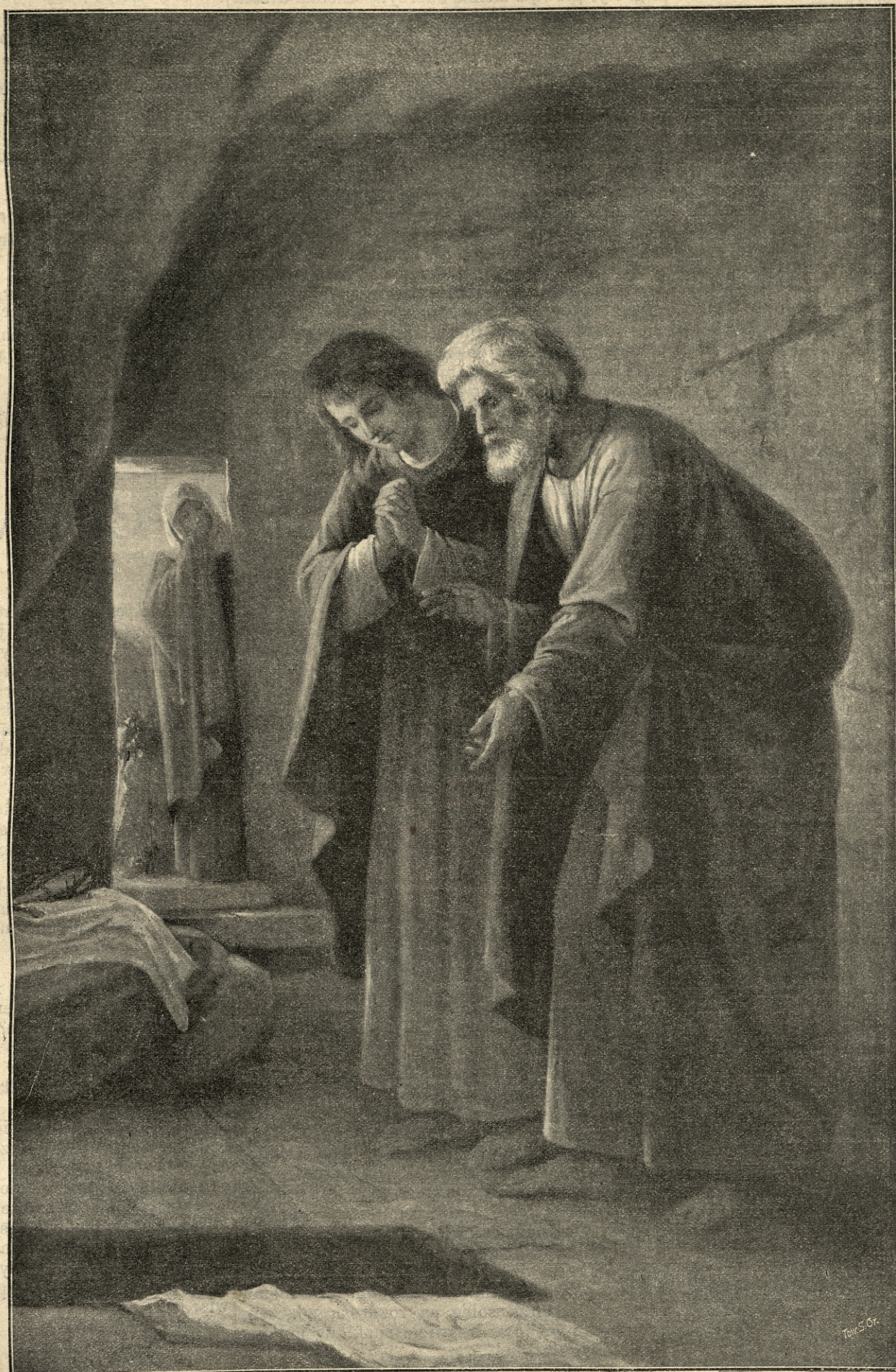


# BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET



Co szukacie żyjącego między umarłymi?

# POWSTAŁ!

Jeszcze świt nie rozdmuchał ciemnych błękitów nocy, jeszcze gwiazdy drżały i łzawiły się na niebie, a księżyc wspaniałą smugę światła jak kolumnę stawiał na tajemniczej płycie grobu, w którego głębi złożyły pobożne ręce Nikodema i Józefa z Arymatei zwłoki Tego, który, Stwórca wszechrzeczy, chciał żyć, umierać i być pochowanym jak człowiek.

Jeszcze świt nie rozdmuchał ciemnych błękitów nocy, gdy krętą ścieżyną między krzaki burzanu, cierni i głogu, przekradał się brzydki, zły, nędzny, niespokojny, z zacisniętymi pięściami, z mściwym wzrokiem i zacietemi usty człowiek, grzesznik, śmiertelnik, tylko co, bo jeszcze trzech dni nie było, umiłowany, odkupiony, przez wcielonego Boga...

Jeszcze gwiazdy wyraźnie łzawiły się w niebiosach, a kolumna księżycowa stała promienna na grobie, gdy człowiek ten dopadł do groty, kryjącej Zbawcę, który miał zmartwychwstać i przysiadłszy opodal na kamieniu, skurczył się, głowę objął rękami i mrucał złowrogo jak zwierz...

— Zobaczmy... zgrzytały zawzięte usta.— zobaczmy... groby się nie otwierają... ciała nie zmartwychwstają... umarli nie wracają... trzeciego dnia miał powstać... zobaczmy... uczniowie go nie wskrzeszą... przypilnuję groty i kamienia, który go trzyma pod śmierci pieczęcią... Al! wyganiałeś czarty z dusz ludzkich, i kramarzy ze świątyni... ciskałeś prawdą jak kamieniem w pyszne czoła faryzeuszów, światłem swej wymowy upokarzałeś uczonych lewitów, królowie ci hołdowali w stajence, a nędzarze, chromi, ślepi, sławią Cię po drogach i miastach Judei i Samaryi i szepczą ze skruchą i wdzięcznością—to On!... Ale ty nie powstaniesz! Mogłeś łamać ludzi, ducha, grzech, i chorobe, ale nie opanujesz śmierci... Nie... doś tej miłości, która wasz wszystko przebacza i ze wszystkiego wyzuwa... Mówiłeś tam na wzgórzu: „rzucić wszystko, idź za mną!“ Był nie ja... nie na tom się dorobił kramu za judejską bramą, nie na to mam ogród warzywny przy górze „Złej Rady“, abym wszystko cisnął i wędrował za Tobą, jak te nędzne rybaki z nad jeziora, których wodziłeś za sobą... Królestwo twoje, miałeś słusność, nie jest z tego świata, a kto należy do świata, temu ty byłeś za trudny... Nawracać się? to za długa dla mnie robota, za ciężka droga, nie odrobuję tego, co jest za mną... nagradzać krzywdy? ha, ha! w coby się mój interes obrócił! Przebaczać? jakże? kiedy ja chcę zemsty na tamtego, owego, kiedy ja niecierpię, nienawidzę tylu ludzi! Nie, ja nie chcę, żebyś Ty zmartwychwstawał, bo Ty świat zmienisz, a ja w tym świecie nie miałbym miejsca, moje królestwo nie jest w twoim świecie! Prorocy też cuda czynili a śmierć ich zabrała; Mojżesz plagami Egipt karał, ze skały wodę wydobyl, z nieba manę sprowadzał a jednak uległ na górze Nebo i oczy zamknął na wieki; Eliasz ognistym wozem jeździł, ale na ziemię nim nie powrócił... i Twój kamień Ciebie nie odda żywym, nie podniesiesz głowy ku słońcu, nie otworzysz już ust słowami zmieniającymi świat porządek... Wczoraj wniosłem mój kram do świątyni napowrót a dziś o południu pójdę do kapłanów i powiem w Sanhedrynie, że się twój głaz nie ruszył pod moją strażą... i żeś Ty do twej rzeszy nie wrócił... Co to? ja drzę, czy ziemia drży podemną?

Błękit się rozjaśnił naraz... gwiazdy zapadły w ton nieba, a kolumna księżycowa zbladła nad grobem i rozplynęła się w świetle wschodu. Różowe smugi zapłonęły na widnokręgu, w krzewach odezwał się ptaszek, strzepnął skrzydłami i rzucił się w powietrze wysoko z radosnem wiosennem—Alleluja! Ziemia drżała coraz wyraźniej, a człowiek grzeszny przypadł twarzą do wilgotnej darni, słuchał przerażony, zdumiony,

zły i bezradny... i mrucał złowrogo, jak lesny zwierz:

— Zobaczmy...

I ujrzał naraz prześliczną postać białą, płynącą lotem cichej błyskawicy z niebios ku ziemi, śnieżne skrzydła, jaśniejące szaty...

— Anioł... — szepnął człowiek, czego on chce odemnie?

Ale anioł niczego nie zażądał od śmiertelnika i czynił swoje... Dotknął palcem płyty grobowej i cofnął się z pokorą, stuliwszy skrzydła nad pochyloną swą głową.

— Co to jest? co to będzie? — mrucał grzesznik... lecz rażony światłem, które buchało z groty, głową o ziemię uderzył. Ziemia drżała silnie a słońce oblało świat wspaniałem światłem poranku. Na progu grobu stał Chrystus, z bliznami w dłoniach i nogach, z boskiem rozjaśnieniem na czole, z potęgą Boga w oczach. Spojrzał okiem miłości dokoła. długo i smętnie, a łukiem tego spojrzenia objął i postać pokurczoną nędznika rozciągniętego w prochu w gęstwinie. Anioł usunął się z drogi, a Zwycięzca śmierci poszedł wolnym krokiem złotą ścieżyną między łąki napół już zielone ku tym sercom, które go czekały stęsknione, ku tym rzeszom głodnym miłości, dla posiadania której gotowe były rzucić wszystko a iść za nim.

A potem przyszły niewiasty i odeszły w radosnem uniesieniu, że Ten, którego szukały — powstał, a potem anioł odleciał biały i cichy, a opodal groty leżał jak głaz w trawie człowiek z burzą ogromną w duszy.

— Powstał! — powtarzał sobie, a słowem tem kierowały różnorodne uczucia, trwogi, nienawiści, gniewu, niepokoju, niepewności, zdumienia, rzewności, nadziei, tęsknoty nieznannej dotąd. Grunt dawny zachwiał się i zatrzęsł w posadach, coś z głębi buchnęło ciepłego, urodzajnego, i rozdwojenie miotać zaczęło całem jestestwem grzesznika. Błyskawica światła po błyskawicy przelatała w tej burzy wewnętrznej, grom prawdy walił nieubłaganie w twardą zakamienialość, checiwość, drapieżność, zmysłowość, mściwość, chytryść, nienawiść i ożywcze źródło żalu, tęsknoty, pragnienia, miłości oczyszczały tego nędzarza duchowego i budziły ludzką, szlachetną, pierwotną w nim czystość i moc...

Zmierzch już zdmuchiwał dnia blaski z błękitu, gwiazdy wyjrzały na ziemię, a księżyc srebrzyły zaczynał głaz odwalony przy grobie, kiedy w gęstwinie ozwało się długie — jak tęsknota, głębokie jak miłość, westchnienie, a potem zaszeleściły gałązki suche ścieżyny i na równe nogi powstał człowiek, ciałem i duchem — powstał...

Rzucił wszystko i poszedł nową drogą, rzucił swój doczesny kram, i zysk, i fałsz, i w Królestwie z nie tego świata odnalazł miejsce swoje jako nieśmiertelny duch...

— Z błędów pogaństwa, ze starożytnego kramu mnóstwa błędów, ze świątyni klasycznych złudzeń, z rozstajnych dróg idei, twierdzeń i wątpliń, z męczeńskiego gościńca przeczuć, tęsknoty, nadziei, z gruzów wszelkiej wiary w cośkolwiek, przy tym odwalonym kamieniu boskiego grobu powstał świat i poszedł dalej naprzód, z tryumfalną chorągwią zwycięzcy ku dniom odrodzenia ludzkości... Powstał stary świat i poszedł naprzód; ale od czasu do czasu w dawne pogaństwo popada, w dawne manowce zawraca, na dawne błędy choruje, bo świat pośpieszył więcej za Tryumfatorem, niż za Zbawcą i nie rzucił idąc za nim wszystkiego, wszystkiego, co było zmaza i grzechem i częścią pogańskiego ciężaru unosi ze sobą i krzyżuje nim Boga na nowo, i zdradza wiarę i miłość gnębi i w beznadziejność się pogrąża...

Ale Zwycięzca śmierci i grzechu idzie wciąż naprzód, coraz dalej w życie i w dzieje, a świat wśród walki, cierpienia, i znoju, podnosi ku niemu czoło i powtarza sobie na rozdrożu zdarzeń, na schyłku wieków, o świecie epok, życiodajne słowo: Powstał.

*Szczęśna.*

# ZMARTWYCHWSTANIE.

Jakieś wieści w świata wszystkie konce, Szepł popłynął, i wszechświat oniemia: W swym pochodzie wstrzymało się słońce, I stanęła w obiegu swym ziemia; W piersi oddech Przesłworze zaparło — Skamieniało, zdrętwiało, zamarło!...

Lecz nie śmierć to swem skrzydłem szeleszcze: To potężne dwie zmogły się siły. Dziwne ziemię przebiegły skroś dreszcze, I podwójne w niej pulsy zabiły — Chwila jeszcze — cud wyjdzie z ukrycia: Walka z śmiercią i zwycięstwo życia!

Znów ruszyły się światy w orbitach... Co za gwar tam, jak wzmaga się, rośnie!... Obszedł ziemię i dzwoni w błękitach — Coraz głośniej, i głośniej, i głośniej Przesłwór w pieśni zamienia się drgania — To pieśń wielka, to hymn Zmartwychwstania!

*Mieczysław Gliński.*

# POGAWĘDKA.

Ani się człek spostrzeże, jak blade-zieloną szatą ubiorą się drzewa, jak ziemia się pokryje kobiercem traw, a ciepły powiew wiatru zwiastuje wiosnę. Mówią, że bociany już przyleciały, że długim sznurem przeciągnęły przez sklepienie niebieskie gęsi dzikie, a smętny jęk żorawi w powietrzu rozbrzmiał — braknie piorunów tylko i ulawy, tych pożądaných a niezaprzeżonych zwiastunów ciepła wiosennego.

Wiosna!

Mój Boże! co za urok niewypowiedziany... niegdys, niegdys — wywierało to słowo na mnie, z jakim drżeniem serca oczekiwałem każdego jej przyjścia.

„Czuję, jak pachną kochanki warkocze...“

Nie gorszcie się! — to marzenie!... Przyszło do zbieleńszej róży podobne, usnąć — i usnęło — na wieki!

Budzę się.

Łzy nie łzy zakrywają mi wzrok, coś w sercu płacze, a na kartce papieru czernieją słowa napisane, dlaczego napisane?...

Przed chwilą wybiegło słońce z za obłoków... Otworzyłem okno, wiatr ciepły wionął i przyniósł mi wspomnień kilka. — Zapach warkoczów? Może!...

Co kogo te wspomnienia obchodzą? — Chciałem napisane wyrazy przekreślić, ale kto wie, czy one w sercu jakimś oddźwięku nie znajdują, czy nie rozbudzą w niem dalekich, sennych a zawsze pięknych marzeń?

Wstrząsnąłem się — jestem już sobą.

W przedpokoju odezwał się dzwonek.

Wszedł gość, jeden z tych, którego przybycie ani przyjemności, ani nieprzyjemności nie sprawia.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

— Co słyhać?

— Znowu się zawałiła kamienica —

Nie zdziwiłem się zbyt.

— Czy uważasz pan? — Kamienica się zawałiła! powtórzył.

— Kamienica na Żórawiej także się zawaliła... Parsknąłem śmiechem.

— Cóż to? zawołałem— niebyswał jakies trzęsienie ziemi nawiedziło Warszawę?

— Ot, widzisz pan— ziemia się nie trzęsie, a kamienice się trzęsą. — Kupuj teraz nowo budujące się domy, albo wynajmuj w nich mieszkania? Nie pojmuję tylko jednego. — Co robią budowniczywie miejscy, pod jaką kontrolą wznoszą się mury owych, żelaznej trwałości kamienie, i czy ojcowie miasta nie pomyślą o towarzystwie jakimś, któreby ubezpieczało całość naszej osoby? — Szczęściem, że owa kamienica zawaliła się przedtem, nim wykończona została. A potrzeba panu wiedzieć, że kilka lokali wynajętych już zostało, ja sam nawet dałem zadatek na lokal środkowy, właśnie znajdujący się w tem miejscu, które uległo fatalnemu wypadkowi. Dowiedziawszy się o tej katastrofie, idę niezwłocznie do gospodarza i proszę o zwrot danych pieniędzy. Pan gospodarz się dziwi i pokazuje mi kontrakt. Ja na to pokazuję mu dziurę na wysokość pięter wszystkich. — On na to: „Nu — co to pana dzisiaj obchodzić może? czy pan dzisiaj na mieszkanie to się przenosi? Do św. Jana daleko — a do św. Jana i dziury nie będzie i ja panu lokal wygotuję i tak wszystko wapnem zaszoruję, że nikt nie będzie wiedział, że moja kamienica miała ochotę kiedyś zawalić się. „Ależ przecie już zawaliła się?“ — mówię — „Nie — ona mocowała się tylko. Kilka belków środkowych pękło, to ściany wewnętrzne musiały się rozsypać. To się załata, poprawi i będzie jeszcze mocniejsze. Grunt, że zewnętrzne ściany stoją.“ Pokazałem gospodarzowi pęknięcia zewnętrzne, wapnem zalane. — „To dawniejsza historia — uspakajał mnie. Była już tutaj komisya budowlana, ostukała, opukała tę całą kamienicę, jak doktor chorego człowieka i powiedziała, że nie a nic jej nie grozi. sto lat stać może.“ Zaczęliśmy się sprzeczać: ja swoje a on swoje, ja żądam zwrotu zadatku, a on się oburza, że nie wierzę dygnozie panów budowniczych stawianej nad chorą kamienicą. Z wypadku zaś powinienem być zadowolony, że nastąpił przed mojem przeniesieniem się do wynajętego lokalu.

To mówiąc, obejrzał się w koło gość mój.

— Pan, to jesteś spokojny. Mieszkaś w kamienicy, bodaj czy nie zeszlowiecznej jeszcze. A mówią, panie dobrodzieju, że sztuka budownicza ogromne postępy zrobiła. Ja wiem tylko, że ani jedna z piramid egipskich nie zawaliła się dotychczas.

— Bezwątpienia — rzekłem — że jest ogromna różnica w budowaniu dawniejszem a dzisiejszem.

— Umiano budować lepiej — prawda?

— Nie — tylko ucziwiej.

Rzeczywiście, gdybyśmy mieli pod ręką wykaz w ciągu roku niespełna zbudowanych kamienic i wykaz drugi, ile z nich popękało lub zawaliło się—procent wypadków byłby lichwiarski... Ale żart żartem a bezpieczeństwo i grosz publiczny na gruby szwank są narażone. Mnożące się wypadki muszą zwrócić uwagę baczną władzy i winowajców do srogiej odpowiedzialności pociągnąć.

W ostatnich czasach bardzo ciekawą a ze wszechmiar godną uwagi sprawę poruszył dr. Lorentowicz, rzucając myśl utworzenia bibliotek szpitalnych. Rekonwalescenci, to jest ci, którzy do zdrowia przychodzą, a nie mogą jeszcze murów szpitalnych opuścić — nudzą się okropnie, pozbawieni nie tylko rozrywek, zdrowym dozwolonych, ale nawet takich, jak czytanie naprzykład. Dla umysłu średnio nawet wykształconego człowieka, czytanie rzeczy lekkich, jako uprzyjemnienie leniwie wlokącego się czasu, jest rzeczą konieczną. Chorzy zapominają o trapiących ich dolegliwościach, mniej myślą o sobie, powrót do zdrowia jest szybszy i — weselszy. Zwraca się więc szanowny projektodawca do znanej uczynności i dobrej woli inteligencji naszej z prośbą o ofiarowanie w miarę możliwości książek. Ofiary te mają być pierwszym

fundamentem przyszłych bibliotek szpitalnych. Doktor Lorentowicz prosi o nadsyłanie ofiarowanych książek do siebie—Żórawia nr. 8.

Minął czas balów, urządzanych na cele dobroczynne, natomiast nadszedł czas rautów, odczytów, koncertów i teatrów amatorskich. Podobne przedstawienie odbyło się niedawno w przeszlicznej i wspaniałej sali Towarzystwa Łyżwiarskiego, w Dolinie Szwajcarskiej, gdzie siły amatorskie, pod umiejętną reżyserją Maryana Gawalewicza, wywiązały się doskonale z podjętego zadania. Przedstawienie odbyło się na korzyść „Kąpieli Ludowych“ i udało się nad wyraz dobrze. Sala wypełniła się po brzegi, huczne brawa a dodajmy, zasłużone zupełnie wynagrodziły trudy improwizowanych aktorów.

Obecnie w jednym z kół, zajmujących się sprawami dobroczynnymi powstała myśl przyjscia z pomocą „Towarzystwu Przeciwwzbracemu.“ Przynęta dla publiczności ma być wystawa obrazów, znajdujących się w domach prywatnych. — Krom celu pięknego, jeżeli wszyscy posiadacze nie poskapią zbiorów swoich, dowiemy się zarazem o artystycznym bogactwie ogółu naszego. Nie będziemy tam może Rafaelów mieli i Renich, ale kto wie, czy niejedna rzecz prawdziwie piękna, zapomniana, nieznaną, nie pojawi się oczom naszym. Doprawdy, że o ogólnem bogactwie naszym (pomijamy tu zbiory publiczne) — bogactwie zawierającym się w książkach, sztychach, pamiętnikach, rzeźbach, obrazach olejnych i innych zbiorach, nie mamy przybliżonego nawet pojęcia. Czy nie warto by skrzyżstać z myśli wyżej podanej i w odstępkach, choćby rocznych, urządzać taki popis publiczny, dla dowiedzenia się, co mamy, i w jakich rozmiarach mamy to, co przekazała nam przeszłość i cośmy w terażniejszości zebrali i zachować potrafili. Poznalibyśmy lepiej samych siebie, a czy to jest złe znać samych siebie?

Przed kilku dniami zakończył się, z rezultatem doskonałym, dzień sprzedaży towarów na dochód „Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami i dziećmi.“ Damy z towarzystwa wzięły na siebie rolę kupcowych, i z ogromną umiejętnością umiały przynęcać kupujących. Główna zasługa należy się pani Konstantowej Górskiej, której nazwisko na polu dobroczynności publicznej znanem jest ogółowi naszemu, osobne także słowo uznania należy się gronu opiekunek a w szczególności paniom: Wiktorow j Suskiej, która staraniem i zabiegliwością swoją zdołała zebrać trzy czwarte zgromadzonych na sprzedaż dobroczynnej towarów i Ludwikowej Chwałowej, zarządzającej działem artystycznym „Wenty.“ To też przez usta nasze zasyła podziękowanie naszemu światu malarskiemu, panom i paniom: Andrychiewiczowi (Sobótki); Alchimowiczowi (Krajobraz); Wasilewskiemu (Akwarelle); Piątkowskiemu (Paletka); Tańskiemu (Rysunek); Stankiewiczównie (Ruiny zamku); Poświkowej (Bratki); Naimskiej (Patery); Dzierzkównie (Widok morski). Pozostaje jeszcze obraz do nabycia Andrychewicza a akwarella Wasilewskiego.

Zacząłem o wiosnie i skończę na święcie wiosennem Zmartwychwstania.

Uroczysta to chwila a przypada zawsze w pierwszych dniach rozczudzenia się ziemi ze snu zimowego. Budzi się świat, budzą się nadzieje w sercach ludzkich, krzepi się duch w tej wielkiej godzinie Zmartwychwstania Jezusowego. — Za chwilę zabrzmi potężne Alleluja!!

Alleluja sercom zziębłym, Alleluja duchom upadłym!

Dzieleń się z wami jajkiem wielkanocnem... Grób pękł—Bóg zmartwychwstał... Życie śmierci zwyciężyło!

??

Jak obchodzono u nas dawniej

## Wielki tydzień i wielkanocne święcane.

Najuroczystszym i najweselszym ze świąt naszych jest bezwątpienia Wielkanoc. Już sama pora roku, w jaką przypada zazwyczaj to święto, pora wiosennego budzenia się do nowego życia uspioonej długo przyrody, owe pierwsze złote słońca promienie, uśmiechające się po pełnych smutku i posępnych dniach szarug wielkopostnych, owa wreszcie świeża i jasna zieloność lekliwie pokazującej się trawki, która weseli wzrok znużony szarżyną kilkutygodniową, wszystko to nastroja duszę naszą na jakiś ton radosny i wesoly, czyni ją zdolną do przyjęcia tych radosnych religijnych wzruszeń, jakie budzić w nas winna pamiętka Zmartwychwstania Pańskiego. W całym świecie chrześcijańskim pamiętkę ową najważniejszego faktu religii świętej obchodzą z równą uroczystością i wystawnością; u nas wszakże—pomimo wspólności obrzędów kościelnych zresztą katolickich krajów—obchodowi świąt wielkanocnych towarzyszyły oddawna odrębne, a nam tylko właściwe zwyczajy.

Wrażenie radości i wesela świąt wielkanocnych potęgują—jako kontrast—owe ostatnie dni wielkiego tygodnia, dni poświęcone rozpamiętywaniu Męki Pańskiej i towarzyszące temu rozpamiętywaniu smętne obrzędy kościelne. Przypomnimy tu owe misterye i dyalogi pobożne, w tym celu urządzone, jakie były praktykowane u nas w XVI, XVII i pierwszej połowie XVIII wieku. Właściwe jednak nabożeństwo wielkotygodniowe rozpoczynało się we środę. Po ciemnej jutrzni, zwanej tak od kolejnego gaszenia świec na świeczniku, gdy ksiądz na pamiętkę zamieszania w naturze, jakie towarzyszyło śmierci Chrystusa Pana, czynił loskot po kościele, uderzając brewiarzem o ławki, zebrani w kościele chłopcy brali z tego assumpt do sprawiania jeszcze większego hałasu i uderzali, co sił starczy, kijami i pałkami o posadzkę i ławki; zacem, wypadłszy z kościoła, wypychali bałwana, który miał udawać Judasza i okładali go temiż kijami, nie szcędząc przytem klątw i złorzeczeń zdrajcy, co sprzedął Chrystusa Pana.

Wypchanego słomą bałwana ustrajano zwykle w kolorowe szmaty, w kołpak wysoki na głowie, a w zanadrze chowano mu trzydzieści kawalków szkła tłuczonego na pamiętkę owych 30 srebrników zapłaty. Po wsiach i miasteczkach tak ustrojonego bałwana włócono po gościńcach i drogach, okładano kijami i w końcu topiono w rzece, lub, w braku jakiej wody palono. Nie wszędzie też w jednym i tym samym dniu urządzano ten obchód: w jednych miejscowościach męczono „Judasza“ we środę, w innych we czwartek, a znów w innych w wielki piątek lub sobotę.

W Warszawie, wypchawszy bałwana, włócono go zazwyczaj przed kościół Panny Maryi, gdzie część chłopców wzięła na wieżę i ztamtąd na sznurze spuszczała bałwana na ziemię, pozostali u stóp wieży chłopcy z okrzykiem „Judasza leci!“ chwytali go, zanim jeszcze spadł na ziemię, okładali potężnymi razami i następnie wlekli go nad Wisłę i topili.

W wielki czwartek urządzano w kościele ciemnicę na pamiętkę wzięcia Pana Jezusa pod straż i trzymania Go pod nią przez noc całą. Wybiera się do tego miejsca w kościele zaciemnione, zakrysta zazwyczaj, w które składa ksiądz rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Potem odbywał się uroczysty i rzewny w swojej prostocie obrządek *umywania nóg*, na pamiętkę tego, że Pan Jezus przed Wieczerzą umywał nogi dwunastu apostołom. Zwyczaj ten dawniej był u nas pilnie przestrzegany i odbywał się w dworcu królewskim zarówno jak w kościele i skromnym domku szlachkim. Zygmunt III zbierał zazwyczaj w tym dniu dwunastu ludzi w całym kraju najstarszych,

liczących nieraz po stokilkadziesiąt lat starców, ubierano ich w czerwone płaszcze i sadzano w jednej z sal zamku przy obficie zastawionym stole; tu sam król pełnił ów obrządek chrześcijańskiej pokory, umywając własnoręcznie nogi najuboższych nieraz swych poddanych. Po kościołach biskup lub inny wysokiego stopnia duchowny pełnił ten sam obrządek względem dwunastu żebraków lub ubogich. W pańskich i starszszlacheckich dworach wiejskich, gdy to jeszcze lud z dworem patriarchalna łączyła zażyłość, pan i gospodarz domu zbierał z swych włości dwunastu najstarszych wieśniaków, wyprowadził dla nich wieczerzę i umywał przy niej własnoręcznie im nogi.

W wielki czwartek również urządzano po kościołach groby Pańskie, z mchu, papieru i kamieni imitowano grootę, w której było złożone ciało Chrystusa po śmierci, kładziono w niej krucyfiks i cały grób strojono w doniczki z kwiatami, wazonami lub drzewkami, na co składali się pobożni parafianie, pożyczając chętnie kwiaty lub egzotyczne ze swych cieplarni rośliny. Tak urządzone groby trwają aż do niedzieli i odwiedzone są przez tłumy pobożne w ciągu dwu ostatnich dni wielkiego tygodnia.

Wreszcie w nocy z wielkiej soboty na niedzielę odprawia się rezurekcja—najuroczystsze i najweselsze nabożeństwo religii chrześcijańskiej, na pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego. Radosny odgłos dzwonów zwiastuje chrześcijanom, że Ten, który jako człowiek umęczony był i ukrzyżowany za grzechy nasze, jako Bóg zmartwychwstał. Zaprawdę dziwnie weselny i drżący hymnem wszystkich chórów anielskich jest ten głos dzwonów, któryśmy przywykli od dzieciństwa uważać za wieść radosną, lecącą z niebios wprost do serc naszych, za anielskie „aleluja!“ Dziwny też, magiczny niemal wpływ wywiera dźwięk tych dzwonów na najbardziej zacerstwiałe serca, w najbardziej posępnych duszach budzi drżące echa chwil najczystszych i najświętszych, jakie przeżyliśmy w życiu.

Zabiegliwie krzątały się dawne niewiasty polskie w ciągu kilku dni wielkiego tygodnia, aby jaknajokazalej i najponętniej wyglądały ze święconem stoły. Tu szerokie do popisu pole znajdowała przysłowiowa ich gospodarność. Najwięcej pono pracy, zabiegów i starania wymagało—jak zawsze—pieczenie ciast wielkanocnych; największą uwagę wzbudzało pytanie: „czy—i jak udadzą się baby, mazurki i placki? Czy pięknie urosną? czy się nie przepalą?“ i masa podobnych dręczących niepokojem i niepewnością kwestyj.—Lecz oto wszelkie kuchenne i piekarniane zachody ukończone: w sali—przed zmęczoną, lecz rozpromienioną zadowoleniem gospożą—wydłuża się biały do ziemi sięgającym obrusem okryty stół, na którym piętrzą się piramidy ciast, placków, mazurków, stopy szynek, wędlin, drobiu i zwierzyny, zwoje kielbas, misy jaj, różnobarwnych *pisanek* i *kraszanek*, baterye butelek i gąsiorków. Wśród widnieje tradycyjny baranek z czerwoną chorągiewką—półmiski umiejennie ukrywają i stroją doniczki z roślinami i kwiatami—wszystko gotowe, czekać tylko księdza plebana, aby stół zastawiony poświęcił.

A sadzono się na to, aby wystąpić ze święconem jaknajwspanialej, aby zaćmić wystawnością sąsiada. Obok tej jednak niewinnej pychy i emulacji nie małą rolę odgrywała prawdziwa staropolska gościnność, co to by chciała podzielić się z gościem nie tylko duchem i sercem własnym napoły, ale i nakarmić go tym naszym chlebem powszednim.

A nie zawsze chleb ów bywał „powszednim“, jaki się ma codziennie... Były zamożniejsze domy pańskie, gdzie święcone wielkanocne przygotowywano ze szalonym niemal zbytkiem i trudno dającą się dziś zrozumieć wystawnością. Przechowywała się z dawnych czasów wiadomość o jednym takim święconem u księcia Sapiehy, wojewody wileńskiego, który znajdujemy w licznych podówczas kronikach domowych zaproszonej na owo święcone szlachty. Wystąpił bo wystąpił książę wojewoda—stać czeszą było go na to. Stół ubierały najprzód cztery dziki, nadziewane szynkami (uważajcie—proszę—licz-

bę, odpowiadającą liczbie pór roku); następnie 12 nadzianych również szynkami i dziczyzną jeleni o pozłacanych rogach (12 miesięcy); nęciło wzrok dalej pięćdziesiąt dwa placki (liczba wyrażająca ilość tygodni w roku); 365 babek (ilość dni). Wśród stołu stało 4 srebrne puławy staroświeckie, napełnione winem z czasów Batoroego; dalej 12 również srebrnych konewek z winem z czasów Zygmunta III, 52 baryłki z winem francuzkim, hiszpańskim i włoskim; 365 gąsiorków z winem węgierskim i wreszcie 8,760 (ile godzin w roku) dzbanów miodu czarnego.

Wymownym dowodem tego, jak wówczas jedzono i pito jest okoliczność, że po kilkudniowym podejmowaniu przez księcia wojewodę gości nie zostało z tego ani okruszyny chleba, ani kawałka mięsiva, ani kropli napoju.

Tu jeszcze słów parę o dawnym zwyczaju ludowym, obchodzonym w drugie święto po wsiach i miasteczkach: mówię o *dynusie*. Zwyczaj ten ma być pamiątką chrztu Polski i sięga najdawniejszych czasów. W różnych częściach naszego kraju różne ten zwyczaj przybierał formy i dotychczas w wielu miejscowościach się zachował. W pierwsze święto po południu zbierają się we wsi parobczaki i każdą prawie napotkaną dziewczynę oblewają obficie wodą lub rzucają ją do stawu lub sadzawki. Nieraz z kąpeli takiej wychodziły dziewczęta przeziębione i później to ochorowywały, obrażały się jednak śmiertelnie, jeśli którą z nich ominęła ona. Oto czterowiersz z pieśni ludowej, który nam maluje ten rys obraznej miłości własnej dziewczyny:

„Żałowałaś kropli wody—  
Precz odemnie od urody;  
Nie pohasam na dożynku  
Z tobą—niemrawo—Jasinku!“

W drugie święto chodzą parobcy od chaty do chaty po kweście, przybrawszy jednego z spośród siebie w wywrócony na wierzch włosom kożuch i zmuszając go razami do imitowania ruchów niezgrabnych niedźwiedzia, śpiewają przytem piosnkę:

„Przyszliśmy tu po dynusie,  
Zaśpiewamy o Jezusie.  
O Paniencie, świętym Piotrze,  
O Judaszu i o łotrze.  
A gospościa skrzętna, szczerza,  
Da nam wódki, chleba, sera,  
Mając w domu z Bożej łaski  
Placki, jaja i kielbaski.“

Zdarzało się czasami, że w której chacie zamknięto drzwi przed kwestującymi i odpowiadano:

„Tuście dziewcząt nie kapali,  
Idźcie sobie teraz dalej...“

Ale zazwyczaj odchodzą parobcy szczerze obdarzeni ciastem i mięsivem, którem się następnie dzielą i spożywają w karczmie.

W niektórych miejscowościach i dziewczęta—szczególnie uboższe—chodzą po kweście z tak zwanym *gaikiem*.

S. O.

## Wielkanoc na Starem Mieście.

### I.

o starych domach ruch nielada  
Od suteryny do facyatki,  
Rzadsza gospościa z mężem zwada  
I krócej kłóca się sąsiadki.

Ucichły plotki (nie na zawsze!)  
Języczek stracił na swej mocy,  
Bo oto słonko już jaskrawsze:  
Za pasem święta Wielkiej Nocy!

W izbach i stancyach tartas wielki,  
Srodze się krząta gospodyni,  
Przy boku krzepkiej rodzicielki  
Piękna córeczka służbę czyni.

Zbadała panna, jak należy,  
Piekarskiej sztuki tajemnice  
I piecze baby, naksztalt wieży,  
A placki—wielkie, jak stolnice!

### II.

Odwieczny rynek w blasków złocie  
Snuje wspomnienia zmierzchłej doby,  
Idą mieszczanie po robocie  
W starych świątyniach zwiedzić „groby.“

Ówdzie robotnik z narzeczoną,  
Ówdzie stuletnia drepce para...  
W kościelnych nawach światła płoną,  
A już najbardziej nęci fara!

I tłum w skupieniu trwa głębokim,  
Sroga mu żalność serce krwawi  
I miłościwemu, zda się, okiem  
Chrystus prostaczkom błogosławi.

Płynie szmer modlitw ku stropowi  
Z jakąś tęsknotą tajemniczą.  
I pieniądz: często grosik wdowi  
Pada na tacę jałmużniczą.

### III.

Po summie ciżba gości kroczy,  
By zaś podjadła i spoczęła,  
Na wielkim stole wabią oczy  
Kuchennej sztuki arcydzieła.

Tedy gospodarz z gestą miną  
Świeconem jajkiem wkrąg się dzieli:  
„A niech nam latka błogo płyną!  
A żyjmy-ż szczęśni i weseli!“

Więc się pękata zjawia flaszka,  
Ba! i nie jedna, mościpanie!  
„Do góry czoła! dobra nasza!  
W waścine ręce, kumie Janie!“

I krąży czarka akuratna  
(W niej na kłopoty przednie srodki),  
A płeć nadobna, delikatna,  
Smokta wstydliwie likier słodki.

### IV.

Poszła kolejka jedna, druga,  
Przezacne twarze lśnią jak róże,  
Już magnifika groźnie mruga,  
Co wróży w domu srogą burzę!

At! co tam będzie—niechaj będzie!  
Cóż to? Ma stchórzyć mistrz cechowy?  
„Niech-no dobrodziej krzynkę siedzieć:  
Jest bernardyński miód lipcowy!“

Przy starym miodzie gadać miło,  
Cieplejsze słowa płyną... płyną...  
Budzi się młodość z dawną siłą,  
Upaja serca wspomnień wino!

Już i iza spadła pokryjomu,  
Lecz wnet ją zmienił śmiech radosny,  
I dziwnie błogo w starym domu  
W te uroczyste święta wiosny!

## V.

I gwarzy zacna kompanija  
O tej dzielnicy staromiejskiej,  
Co szczytem świątyni wznosi się wzbija,  
W świat ideału czarodziejski.

Jeden przypomniał datę starą,  
Drugi legendę z czasów cudu,  
I biją serca dawną wiarą,  
Prostą, głęboką wiarą ludu!

Majster się szczyty swoim rodem,  
Co już od wieków z szewctwa płynie,  
Czeladnik, z wiosną w sercu młodem,  
Marzy milczący przy dziewczynie.

A cny gospodarz wznosi czarę  
(Przedni to trunek dawne miody!)  
I pije, święcąc lata stare,  
Na cześć miłości, na cześć zgody!

Or-ot

# BEZKRÓLEWIE

## POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

**Maryę Łopuszańską.**

(Dalszy ciąg).

\*

\*

\*

Pan Oborski, wysłany do Zygmunta, zastał go już w Korczynie, gdzie stanął obozem, będąc tylko Wisłą przedzielony od Maksymiliana.

W Krakowie tymczasem nie wiadano, gdzie się Zygmunt znajduje i tylko hetman, chcąc ducha swoim dodać, powiadał że go tylko co nie widać, a jednocześnie paktował z arcyksięciem, przewlekając układy, aż do przybycia króla. Zygmunt z Piotrkowa jeszcze wysłał siostrę swoją, królową Annę, do Krakowa. Odjechało z nią wielu senatorów, przy królu zaś zostali Wojciech Łaski, wojewoda sieradzki, Opaliński i Dulski.

Oborski wioził list do hetmana, w którym ten, donosząc o zwycięstwie nakłaniał króla, by prędzej przybywał, a cały naród powita go, już nie jak monarchę, ale jako zwycięzcę i zbawcę kraju. Natychmiast też po przybyciu wprowadzono go do Zygmunta, któremu oddał list, w obecności senatorów; następnie zaś podskarbi Dulski zaprosił go do swego mieszkania.

Skoro się znaleźli sami, podskarbi zapytał Oborskiego tajemniczo:

— No, jakże wam się zdaje nowy król?  
Oborski zawahał się, poczem rzekł:

— Ot, powiem wam całą prawdę, mości podskarbi: jakoś on mi się wydał nadto bieluchny na twarzy, nadto cieniuchny, — istna laleczka. To nie to, co nieboszczyk Stefan, co jak wsiadł na koń, to było na co popatrzeć: w ramionach szeroki, kark silny jak u tura, przytem w obliczu majestat prawdziwie królewski. To był król co się zowie!

A ten tylko jakiś sztywny, jakby kij połknął, a właściwej powagi królewskiej w nim niemasz.

— Poczekajcie, nie taki on cichy, jak się wam zdaje. Bóg to wie, czy tam w Krakowie będą z niego bardzo radzi, ale co do mnie, to jakoś nie przypadł mi do serca, jak tylko zaraz w Gdańsku zaczął się spierać o Estonię:

— A jakże to było? No, no, patrzajcie, a ja myślałem że to „tabula rasa“ tak, jak mówił o nim pan Leśniowski...

Dulski ruszył ramionami:

— Tabula rasa! powtórzył z goryczą. Toć pan Leśniowski i mnie to samo powtarzał i tem nas wszystkich oszukał, bo zapewniał że to młodziak, z którym żadnego kłopotu nie będzie, i można go prowadzić wedle woli. Aż tu w Gdańsku, kiedyśmy czekali na przybycie króla, pan Leśniowski, który przy nim jest niby mentorem, donosi nam że flota szwedzka zatrzymała się o pół mili od portu i że posłuchanie ma być danem na okręcie. A cóż to u licha, pomyślałem sobie, strach, czy to co takiego? Szczęście że burza zmusiła admirała Fleminga zawinąć do portu, ale nie mogliśmy mieć posłuchania w klasztorze Oliwskim, tak jako nam stany zleciły, bo królewicz dopóty nie chciał wysiąść na ląd, aż wszyscy posłowie zaprzysięgli uroczyste, że za życia króla Jana Estonii od niego wymagać nie będziem, mimo że w Pactach Conventach stało że ma być wydana Rzeczypospolitej. Trzy dni trwał spór o Estonię, bośmy zrazu ustąpić nie chcieli, ale cóż było robić? musieliśmy w końcu przystać i na to, ale niejeden wówczas powiedział sobie w duchu: Ma jednak rogi ona tabliczka!

— Oho, to on taki! mówił Oborski, kręcąc głową. A spojrzeć na niego, to się zdaje taki cichutki.

— A tak, gadać dużo nie lubi i wciąż jeno milczy, jakby wody w gębę nabrał, ale swoje zrobi zawsze, odparł Dulski. W kilka dni po wylądowaniu przyszedł list od króla Jana, nakazujący by syn natychmiast wracał do Szwecji. Lecz jakoż mu było powracać, skoro wykonał już przysięgę i był obwieszczon ludowi? Odpisał więc w ten sens ojcu i drogą na Malborg i Toruń puścił się do Piotrkowa. Wtedy przyłączyli się do nas pan Opaliński i prymas, obaj ze znacznymi pocztami.

Ale w Piotrkowie strach padł wielki na nas wszystkich, bo nadeszła wieść że Maksymilian ciągnie z całym wojskiem. Dwie noce hufce nasze stały pod bronią i król nawet nie spał, czekając na nieprzyjaciela. Dotego jeszcze pojmowano pacholka Dunina, starosty piotrkowskiego i ten zeznał że mu pan jego rozkazał miasto podpalić. Rychło też naprawdę wszczął się pożar na przedmieściu przez niedbalstwo stajennych, i to jeszcze większy popłoch wywołało. Król wyruszył z Piotrkowa z całą przezornością, po drodze rozpuszczając wieść że wraca do Szwecji, aby nieprzyjaciela zwieść. Tymczasem doszła nas wieść że Zborowski i Stadnicki cofnęli się z Przedborza, który byli zajęli, zostawiając nam wolną drogą. Owoż takóśmy z łaski Boga bez żadnych przypadków stanęli w Korczynie.

— Ja bo nie wiedziałem gdzie jesteście, tylko w drodze od ludzi posłyszałem, że król w Korczynie, rzekł Oborski.

— Właśnie tylko co przed wami przybył goniec ze Szwecji, ozwał się Dulski, głos zniżając. W liście który przywiózł, król Jan już nie prosi, ale rozkazuje synowi, by powracał do Sztokholmu...

— Dla Boga, a cóż będzie z nami? zawołał Oborski, zrywając się.

— Widzi mi się że na wieść o zwycięstwie, odmieniliśmy plany, i ono periculum wyjazdu do Szwecji już jest szczęśliwie odwrócone, rzekł Dulski z przyciskiem.

— Ano, to Bogu dziękować, odparł Oborski, usiadając. Mnie bo wielki strach wziął, gdyście mi to rzekli: nie przypadł mi on, co prawda, do serca, ale szkoda by było, żeby nasze trudy i krew przelana dla niego, poszły na marne.

Zygmunt w istocie, jeszcze raz stał się nieposłusznym woli ojca, nie chcąc żeby go posadzono o strach przed Maksymilianem, nazajutrz zaraz, zamiast ku Szwecji, podążył do Krakowa, z kąd arcyksiążę odciągnął wreszcie w Siewierskie.

## XII

Dzwony krakowskie radosnem brzmieniem oznajmiły ludowi że król się zbliża do stolicy swojej. Już zaraz za Wieliczką powitał go hetman Zamojski w gronie biskupów i senatorów. Na błoni podmiejskiem stanęły uszykowane hufce: husary skrzydlata, lekka jazda pancerna, dragoni, piechota, z rotmistrzami swymi na czele. Dalej wyległo mieszczaństwo krakowskie, oraz kolegiaci. Każdy wysilił się jak mógł, by najwspanialej wystąpić przed królem.

Dzień był mroźny, ale pogodny; śnieg iskrzył się pod oslepiającymi promieniami słońca, bo było to 9 Grudnia, i zima rozpoczęła się już na dobre. Wszyscy z biciem serca oczekiwali, kiedy się ukaże orszak królewski. Radość z powodu ustąpienia nieprzyjaciela, łączyła się z radością przybycia dawno oczekiwanego króla.

Wreszcie rozległy okrzyki: „Jadą! jadą!”

Hełmy zbliżyły się na słońce: to jazda marszałka Opalińskiego, poprzedzająca orszak. Po niej zaczęły się ukazywać poczty innych panów, strojne i zbrojne, oraz kolebki biskupów i senatorów świeckich, aż w końcu, w odkrytych saniach, jechał sam król, otoczony dworem swoim, na koniach bogato przybranych.

Ze wszystkich stron podniosły się okrzyki radosne. Zygmunt siedział w saniach, odziany w kosztowną, sobolową szubę, i na wszelkie oznaki zajęcia odpowiadał zimnym głowy skinieniem.

Był młody jeszcze, ale twarz jego nie miała młodego wyrazu; orzechowy włos i bródka ze szwedzka przystrzyżona; cała postać szczupła i wiotka, czoło wysokie, rysy twarzy ściągłe i jakgdyby nagle zastygłe, wszystko to tchnęło czemś obcem, nie swojskiem. Dwudziesty trzeci rok zaledwie liczył, a gdy obrócił na kogoś swe spokojne, niebieskie oczy, zdawało ci się że widzisz przed sobą zamarzlą szybę jeziora, jakich tak wiele w jego rodzinnym kraju.

Był to król z lodu, jak w bajkach północy.

Nikt się jednak nie domyślał jeszcze, że pod tą zimną, poważną powłoką niema nic, zupełnie nic, prócz uporu, słabości i bigoteryi.

Naród był jeszcze w zaślepieniu pierwszych chwil; nawet hetman, jakkolwiek zasłyszał coś od ludzi świadomych, ludzi się myślą że w młodym królu rozbudzi się coś szlacheckiego, co zaświadczy o wielkiej krwi, z której pochodził.

Gdy orszak zbliżył się do hufców, stojących na błoni, hetman podjechał ku nim i zaleciwszy królowi zasługi, jakie położyły, oddał mu dwie buławy i trzy chorągwie zdobyte, na Rakuszaniech. Znow okrzyki głośnie uderzyły o niebiossa. Zapal ogarnął tłumy: Zygmunt był im drogi, nie tylko że pochodził z krwi Jagiellońskiej, ale i dla ofiar, które naród dlań położył. Działa, łupy, zbroje zdobyte, wszystko to również było przedstawione królowi. Była w tem nie tylko chęć popisu lecz chciano mu tem powiedzieć: „Patrz ile zrobiliśmy dla ciebie, jak drogo nas kosztowałeś, królu; związek między nami krwią przypieczętowany.”

Powitany przez wojsko i mieszczan, król jechał dalej.

Na Kleparzu, wśród szanów, wzniesione były łuki tryumfalne z różnemi godłami i napisami.

Na jednej z takich bram był ptak w gnieździe, trzymający w szponach snop, herb Wazów i wyrzucając zeń kłosy, karmił nimi pisklęta.

Kasztelanowa i Magdzia mogły się dobrze przypatrzeć przez okno, jak król wjeżdżał przez bramę Floryańską.

Miasto wystroilo się jak mogło najświetniej na przyjęcie króla: ze wszystkich okien zwieszały się barwne makaty, ulica którą duchowieństwo miało wyjść na spotkanie Zygmunta, wysłana było różnobarwnymi sukniami; dokoła błyszczały świetne stroje i złociste czepek mieszczan krakowskich — Wreszcie biskup Goślicki w licznym orszaku duchownych wystąpił uroczystość ku bramie, którą właśnie król wjeżdżał.

W powietrzu unosił się dźwięk dzwonów a dzwon Zygmunowski po nad wszystkie się rozlegał, poważnymi tony wstrząsając fale powietrza i budząc uroczyste jakieś w okół wrażenie.

Wraz ucichły okrzyki, stanął orszak, biskup Goślicki rozpoczął swą przemowę. Każde słowo rozchodziło się w mroźnym, spokojnym powietrzu; w przestankach tylko słychać było jak chorągwie rozwinięte furczały, lekko wzruszone, zresztą żadnego szmeru: — i znów głos biskupa unosił się po nad tłumy.

Zaledwie ostatnie słowa biskupa rozbrzmiały w powietrzu z piersi kilkudziesięciotysięcznego tłumu wzbily się aż pod niebo przeciągłe okrzyki zapala i radości, a skoro się uciszyły, Zygmunta przemówił w odpowiedzi.

Przemówił chłodno, jak zwykle, ale po polsku, co taką radością przejęło lud cały, że, jak mówi naoczny świadek, zapomniano o wszystkich trudach poniesionych, o krwi bratniej, wylanej w celu utrzymania go na tronie.

Okrzyki znów się rozległy, a dzwon Zygmunowski dźwięczał i dzwonił głosem potężnym, jakby wtórując weselu ogólnemu; dźwięki jego zdawały się mówić: „Witaj, witaj, witaj potomku Jagiełłowi!”

I w owej to chwili, kiedy najłatwiej mógł się zadzierżnąć ów węzeł nierozzerwalny, istniejący między narodem a monarchą, ten król młodzieńczy nie znalazł w swej piersi ani jednego serdecznego drgnienia, któreby odpowiedziało na uniesienia ludu, witającego go z takim zapalem. Zimne jego, bezkrwiste serce obce było wszelkim gorętszym porywom; obojętnie patrzył na radosne i szczerze witanie tłumów i żadna iskra elektryczna nie przebiegła pomiędzy nim a narodem, nad którym obejmował rządy.

Nie uszło to wszystko oka hetmana; począł i on badać lodowatą twarz młodego króla, śledząc czy nie dojrzy w niej choć najlżejszego wzruszenia, lecz prócz bezzwrotnego chłodu, nic tam nie znalazł. Wówczas po raz pierwszy w myśli jego powstało pytanie: „A może się omylił?”

Z ciężką tą wątpliwością w sercu jechał w orszaku królewskim, który posuwał się powoli ulicami, i wciąż uparcie myśl ta mu powracała: „Tyle ofiar poniesionych, tyle krwi przelanej — i dla kogo?”

A lud tymczasem cieszył się i radował; okrzykom końca nie było. Słońce wspaniale zachodziło nad starym grodem i opuszczało się powoli, jakby z żalem, że tyle wesela porzuca.

Późno w noc dopiero król udał się do kościoła podziękować Bogu za szczęśliwe przybycie.

Nazajutrz już hetman przekonał się wyraźnie, że obawy jego płonemi nie były.

Przedniejsi panowie i dostojnicy cisnęli się na zamek, by powitać króla, który wystąpił w stroju hiszpańskim, zimny i sztywny jak zwykle. Wszystkie próby żeby go wyciągnąć na rozmowę dłuższą i poznać z niej zdolności i rozsądzenie młodego pana, do niczego nie doprowadziły. Na przemówienie hetmana, Zygmunta krótkie tylko i suche dawał odpowiedzi.

Wówczas to Zamojski zniecierpliwiony, spotkawszy się z Lesniowskim na boku, spytał go cicho:

— A jakieżście to nam nieme dyable przywieźli?

Słówko to usłyszeli inni i tegoż samego dnia przebiegło ono z ust do ust, jako pierwszy sąd, wydany o młodym królu. Od tej chwili rozpoczęła się głucho niechęć między królem a hetmanem.

Wzmogła się ona gdy następnego dnia rozpoczął się spór o Estonię. Zygmunta nie chciał wykonać tego warunku paktów konwentów; doszło do bardzo ostrego przymówienia między królem a hetmanem. Szeptano sobie nawet że Zamojski nie dopuści do koronacji i Zygmunta do Szweyji powróci. Z każdym dniem poznawano lepiej, że nie tak łatwo pisać na „tabliczce” jak mówił pan Lesniowski; miała ona swój upór, na który nie było rady.

Jednakże Kraków wciąż się cieszył i brzmiał uroczystościami, dawanymi na cześć nowego króla. Kasztelanowa dzieliła radość ogólną i wraz z Magdzą przypatrywała się owym uroczystościom, które dla dziewczęcia były czemś nowym i niezwykle wspaniałym. Jednego dnia, gdy obie powróciły z kościoła, kasztelanowa otrzymała niespodzianie list jakiś.

Przeczytawszy go, zamyśliła się głęboko. Gdy Magdzia weszła, została ją jeszcze z listem w rękę, i zadumaną wielce.

— Czy może przeszkadzam? zapytała nieśmiało.

— Nie, moje dziecko, rzekła kasztelanowa, owszem, chciałam z tobą pomówić.

Usiądź-no tu, przy mnie.

Magdzia, według swego zwyczaju usiadła na stołeczku, a kasztelanowa ozwała się po chwili:

— Z przyczyny listu, jaki otrzymałam, chciałam ci powiedzieć coś o krewnych matki twojej, których bardzo mało znasz, jak widzę.

— O, niech ciotuchna powie mi co o nich! zawołała Magdzia. Takbym chciała poznać rodzinę mamy; — nie wiem dlaczego tatuńcio nigdy nie gada ze mną o tem...

— Widzisz, moje dziecko, rzekła kasztelanowa, rzecz jest w tem, że zrazu rodzina nie bardzo zgadzała się na ten związek twojej matki, a mojej siostry. A szczególnie brat nasz, świętej pamięci sprzeciwiał się temu mocno, pomnąc zawsze na świetną przeszłość i parantelę rodu Herburtów, choć gałąź, od której pochodzimy, znacznie już zubożała i podupadła. Ojciec też twój, jak to mówią „harda dusza w ubogiem ciecie” zdaleka zawsze później trzymał się od rodziny żony, ze mną tylko utrzymując niejakie relacje, bom nigdy słówkiem żadnym nie sprzeciwiała się małżeństwu Anusi; z tej to przyczyny tak mało wiesz o rodzinie twojej matki. — Brat nasz, a twój wuj s. p. umarł, jak ci wiadomo, przed kilkoma laty i zostawił jedyną córkę sierotą. Wzięła ją na opiekę ciotka żony, choć ja chciałam bardzo zaopiekować się dzieckiem mego brata.

Pół roku temu i ona umarła, zostawiając biedną dziewczynę samotną na świecie. W pierwszych chwilach żaloby schroniła się do klasztoru; potem kiedy chciałam ją zabrać do siebie oświadczyła mi, iż uczuwszy w sobie powołanie do zakonnego życia, postanowiła Bogu się poświęcić. Stan zakonny jest rzeczą świętą, i z pewnością nieodmawiałabym ją od tego postanowienia, gdybym widziała że czuje w sobie istotne powołanie, ale wiem że to jest jakowaś przełotna chęć tylko i później może pożałuje tego. Bardzo się też uradowałam, otrzymawszy dziś list od niej, w którym zapytuje, czy nie mogłabym dać jej schronienie na czas jakiś w moim domu, gdyż choć ma nieodwołalne postanowienie, lecz przed uczynieniem ostatecznego kroku, matka przełożona zaleciła jej by wprzód na czas jakiś powróciła do świata i zbadała swoje serce, czy je rzeczywiście Bóg na służbę swoją powołał. Za całą odpowiedź jadę zaraz i zabieram do siebie biedne dziecko. Bardzo to szczęśliwie że ty tu jesteś, potrafisz ją rozerwać lepiej odemnie starej...

— O, tak, tak, ciotuchno, zawołała Magdzia, zrywając się. Idźmy zaraz, zabierzmy ją biedną i nie dopuścimy by się zamykała za kratą! — Co za szczęście! ja mam siostrę, — już teraz nie będę zazdrościła nikomu, bo jest nas już dwie!

Jak ja ją będę kochać; — z pewnością nie za tęskni! — Ale gdzież ona jest, ciociu?

— U panien Norbertanek na Zwierzyncu.

— A ile jej lat, ciotuchno?

— Mało co starsza od ciebie.

— A czy i tego wzrostu co ja?

— Przecież zobaczysz ją dziś jeszcze, rzekła kasztelanowa. Zdaje mi się jednak, że wyższą jest trochę od ciebie.

— Ależ, żeby to już prędzej jechać po nią! — mówiła Magdzia, nie mogąc usiedzieć na miejscu.

— Zaraz, zaraz, muszę wpierw pomyśleć, gdzie mam podziąć Ewę — odrzekła kasztelanowa. A tybys lepiej zrobiła, gdybys siadła na miejscu, a nie kręciła się jak fryga po pokoju.

— Już siedzę, ciotuchno, już siedzę. Ale Ewica przecież może stać ze mną razem.

— Obaczymy, jak to będzie. Pójdź-no, powiedz marszałkowi, by kazał przygotować kolasę do wyjazdu na miasto.

Magdzia pędem strzały wybiegła z komnaty, by spełnić rozkaz.

Po południu obie pojechały do klasztoru Zwierzynieckiego, by zabrać z sobą Ewę Herburtównę. Zatrzymawszy się przed furta klasztorną, weszły niebawem do parlatoryum, wielkiej, dość ciemnej komnaty, przedzielonej kratą na dwie połowy. Magdzia, patrząc na owe kraty, na mury grube i szare, na długie, sklepienie korytarze, straciła jakoś wesołość i wyglądała jak ptaszek, złapany do klatki. Przy okienku u kraty ukazała się głowa zakonnicy, odzianej białą i zaczęła rozmowę z kasztelanową; przez ten czas Magdzia stała, czekając, kiedy Ewica się ukaże. Zakonnica znikła niedługo, poczem otwarły się drzwi i do parlatoryum weszła cicho i poważnie młoda dziewczyna, ubrana w białą, skromną suknię, przy której jeszcze bardziej jaśniała swą pięknoscia.

Wysmukła, o długich, aż do ziemi prawie, złocistych warkoczach i głębokich oczach lazurowych, w całej postaci, w białym, wyniosłym czole posiadała obok łagodności jakąś szlachetność, budzącą cześć mimowolną. Widocznie z powodu zamknięcia klasztorowego cere miała nadzwyczaj białą, tak, że wyglądała jak posąg alabastrowy, przez który przegląda tylko różowe światło lampy.

Magdzia, która od razu chciała skoczyć na szyję długo oczekiwanej, nagle wstrzymała się i stanęła, oniesmielona jej niezwykłą pięknoscia i powagą.

Ewa podeszła najpierw do kasztelanowej i schyliła się do jej ręki. Matrona uścisnęła ją, patrząc na nią z rozczuleniem i rzekła:

— No, poznajcież się między sobą, dziewczęta; Magdzu, pójdź, ucałuj siostrę.

Ewa pierwsza zbliżyła się z uśmiechem do Magdzy i uścisnęła ją jeszcze.

W tej chwili lody stopniały; Magdzia również rzuciła się jej na szyję, wołając:

— Jakże rada jestem, że mam taką śliczną siostrę!

— To ty sama jesteś śliczną, siostrzyczko — odrzekła Ewa. W życiu nie widziałam tak serdecznych oczu, jak u ciebie.

— Co tam moje oczy — zawołała Magdzia, śmiejąc się; takie one jak u wszystkich; popatrz lepiej na siebie; wyglądasz przy mnie prawdziwie jak królowa obok swej poddanki.

— Ale dość już tego, przerwała kasztelanowa, nagadacie się z sobą dowoli i w kolasce i w domu. Ewicu, czyś się pożegnała z wielebnymi siostrami?

— Tak, ciociu, jestem już zupełnie gotowa.

— A więc chodźmy.

Skoro się znalazła na powietrzu, Magdzia odetchnęła swobodnie; te mury dusiły ją. Rozmowom i pytaniom końca nie było; Ewa odpowiadała łagodnie ale w krótkich słowach; widocznie w klasztorze przywykła do milczenia. Gdy jednak wjechały w ulice gwarne teraz i przystrojone, z przyjemnością rozglądała się dokoła.

— Wszak prawda, że pięknie tutaj? — pytała Magdzia.

Ewa uśmiechnęła się tylko w milczeniu.

— Wiesz, Ewciu, będziemy mieszkały w jednym pokoju—ozwała się po chwili Magdzia.

Czy jesteś rada z tego? bo ja nadszycza się cieszyć.

— I ja także — rzekła Ewa, biorąc ją za rękę.

— A więc uściśnijmy się, jeśli się cieszysz — rzekła Magdzia, całując ją. — Nie możesz sobie wyobrazić nawet, jak jestem szczęśliwą z twego przybycia. Nigdy nie miałam siostry, — to tak nudno! Mam wprawdzie dwóch braci, ale siostra, to zupełnie co innego.

— Ja także nie mam ani siostry, ani brata — rzekła Ewa ze smętnym spojrzeniem.

Jestem zupełnie sama na świecie.

Ale teraz nie będziesz już sama — zawołała Magdzia. Będziemy cię tak kochać, że nie zechce ci się wracać do klasztoru.

W tej chwili zajechano przed dom i Magdzia pierwsza, jak sarna, wyskoczyła z kolasy, ciągnąc Ewę na górę, by jej pokazać ich pokój.

Do wieczora obie młode dziewczyny z sobą tak, jakby się znały od dziecka. — Na twarzy Ewy jednak, choć widać było, że spotkanie się z Magdzą radość jej sprawia, pozostał jednak wyraz poważny i zamysłony, kiedy Magdzia śmiała się i szczebiotała, ona zawsze pozostawała spokojną i smętną.

— Ty, kochana zakonniczo moja, zawołała Magdzia, zdaje ci się zawsze, że jesteś w klasztorze. Nie, ty widać się nie cieszysz tak, jak ja się cieszę z twego przybycia.

— Ja się bardzo tem cieszę, odrzekła Ewa, tylko gdy mi jest co drogiem, to chowam to w głębi duszy, by nie utracić.

— To zupełnie inaczej jak ja, zawołała Magdzia. Ja, gdy się czego raduję, tobym chciała skakać, śpiewać i ze wszystkimi się dzielić uciechą moją: z ludźmi, z ptakami, ze słońcem, z całym światem!

— Boś dobra, rzekła Ewa, całując ją. Ale kiedy kto wychował się jak ja, w domu babki starej, która nie lubiła by się śmiano głośno lub śpiewano przy niej, ten nie może być bardzo wesołym. U nas było zawsze tak cicho, że nawet klasztor nie wydał mi się smutniejszy od naszego domu.

— Biednaś ty! — rzekła Magdzia z ubolewaniem. Jakież to smutne życie! nie śpiewać, nie śmiać się... Mój kochany tatuńcio żyćby nie mógł, gdybym mu cały dzień nie szczebiotała, nie śmiała się, nie śpiewała. Jacy dziwni ludzie bywają na świecie, — i cóż im szkodzi, gdy się kto śmieje?

— Babcia była bardzo dobra i kochała mię, ale była oddawna niedomagającą i wiele smutków w życiu doznała, — rzekła Ewa. Ja też nie miałam do niej żalu, — była prawdziwą matką dla mnie sieroty. Choć mię nie pieściła, ale myślała o mnie do ostatniej chwili. Dopiero gdy zmarła, poznałam jak wiele w niej utraciłam...

Ale Magdzia nie słuchała dalej:

— Nie pieściła ciebie! zawołała. A toż jabym cię wciąż tylko całowała, takaś śliczna; istna różyczka biała!... Gdybyś u nas była w domu, dopiero by cię wszyscy kochali! Tatuńcio pewnie wkrótce nademnie by cię przeniósł. Ale jabym nie była wcale zazdrosną: cóż dziwnego, — ciebie każdy musi miłować. Zresztą tatuńcio tak mię rozpieszcza, że mi się zawsze i tak coś zostanie.

— I mój ojciec, gdy żył, to mię pieścił, ale już dawno zmarł, rzekła Ewa z westchnieniem.

— Tylko już się nie frasuj zbyt, rzekła Magdzia, ściskając ją, tak chciałabym, byś była szczęśliwą z nami!

Nazajutrz, gdy przyszedł pan Ignacy, zastał w dolnej sali tylko Magdzą, która zaraz jęła mu opowiadać z zapałem o nowej siostrze.

Niebawem też ukazała się kasztelanowa a z nią Ewa.

— Ale nie mówiłaś mi, Magdziu, że ta nowa siostrzyczka taka śliczna, zawołał pan Ignacy

z zachwytem, którego wcale nie myślał tać. Jakże się cieszę, że jest także i moją siostrą!

To mówiąc podszedł do niej i z braterską ufnością chciał ją w twarz pocałować, ale Ewa się cofnęła zarumieniona i obrażona; rozśmiał się więc i rzekł:

— A więc mam być z wielkim respektem? Lecz sądzę, że w rączkę wolno pocałować?

I z przesadnym uszanowaniem pochylił się do jej ręki.

Odtąd nazywał ją ceremonialnie panną siostrą, albo panną podkomorzanką, i kłaniał się zawsze aż do ziemi.

Pomimo to, w parę dni Ewa była już z nim na stopie przyjacielskiej, traktując go rzeczywiście jak brata. Ożywiła się też znacznie, i widać było, że jej tu dobrze. Stara kamienica wyglądała tak, jakgdyby nagle zajrzał do niej promień słońca, gdy po jej poważnych komnatach przesuwali się wdzięczne postacie młodych dziewcząt. Kasztelanowa z macierzyńskim uczuciem na nie spozierała, i zdawała się odmłodzić, jak jej dom. Magdzia weselszą była niż kiedy, raz, że sama była szczęśliwą, powtóre, że chciała rozweselić koniecznie Ewę.

Ta jednak postanowienia swego nie zmieniła.

Gdy ją Magdzia pytała niekiedy:

— A cóż, pójdziesz teraz do klasztoru?

— Tak, odparła łagodnie i poważnie.

Magdzia oburzała się:

— I cóż cię tak ciągnie do tego klasztoru? — mówiła. — Czyż ci nie dobrze z nami?

— Wiesz co, Magdziu, rzekł raz pan Ignacy, obecny przy tem; powinnaś znaleźć dla siostry Ewy jakiego Adama, a wtedy zostanie z nami.

— O, tak, tak! zawołała Magdzia, klaszcząc w ręce, trzeba znaleźć dla Ewy Adama! Przednia myśl! muszę ja się o to postarać!

— Nie godzi się tak żartować — odrzekła Ewa z wyrzutem. Wiesz dobrze, Magdziu, jak cię miłuję, jeżeli więc dla ciebie zostać nie mogę, to dla niczego w świecie nie zostanę.

— A ja spodziewam się, że zostaniesz — rzekła Magdzia. Już jak ja co sobie postanowię, to na pewno uczynię!

— A jeśli postanowiłaś znaleźć Adama, to go znajdziesz, rzekł pan Ignacy z uśmiechem. No, życzę ci powodzenia, — a pamiętaj by był gładki... Ale muszę uciekać, bo widzę, że siostra Ewa ogląda na mnie wzrokiem obrażonej królowej, lepiej więc zawczasu skryć się przed tym gniewem..

I pożegnawszy się ze wszystkimi, wysunął się z komnaty.

— Nie gniewaj się na niego, on już ma taką naturę, że zawsze lubi żartować, rzekła Magdzia do Ewy. Gdym była mała, tom nieraz płakała, gdy się zaczął przekomarzać, ale teraz to chyba go czasem wyłaję, i tyle

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TEATR.

Towarzyski życia, sztuka w 3-ch obrazach, przez Edwarda Grabowskiego.

Na polu dramatu i komedyopisarstwa naszego coraz więcej pojawia się sił nowych, nazwisk zupełnie nieznanych, talentów, o których niemożna nic jeszcze stanowczego powiedzieć, tak lub owak wróżyć, to jest stawiać horoskopów świetnej przyszłości, albo powiedzieć od razu: szkoda czasu i atlasu. Geniusze nawet nie zawsze rozwijają skrzydła swoje do lotu, bywają nawet ich początki tak nic nie mówiące, że później zdumiewają świat siłą swego rozumu, potęgą natchnienia, śmiałością pochodzą naprzód; cóż mówić o talentach, które mogą dojść do względnej doskonałości, nie przekraczając granic, po za które duch

tylko potężny ulecieć może. Lecz jeżeli w jakimkolwiek bądź utworze ludzkim dostrzeżemy choćby najslabsze nawet drgnienie talentu, powinniśmy go wesprzeć radą dobrą i o ile można pole działania rozszerzyć. Być może, że drobna iskra złudnym tylko była płomykiem i zgaśnie szybko, błysnąwszy blaskiem nieśmiałym, lecz także być może, że żywym ogniem się rozpali, oświeci nas światłem swoim, ciepłem ogrzeje. Te iskry talentu dojrzelśmy w trzyaktowej sztuce p. Edwarda Grabowieckiego, — jak się rozwinię, to już jest kwestyą przyszłości, my tylko możemy radzić autorowi, aby nie ustawał w pracy, poznawał świat i ludzi, tajniki dusz ich badał, a może... może..

W tem „może“ jest wszystko.

Powiedzieliśmy więc od razu, że w „Towarzyskach życia“ dojrzelśmy niezaprzeczone ślady zdolności, i jeżeli sztuka p. Grabowieckiego niezupełnie nam się podobała, to może nie wina jego talentu, lecz błędu popełnionego w doborze postaci, które autor do dramatu swojego wprowadził. Jesteśmy przekonani, że znajduje się grupa ludzi, która nie może stanowić tło obrazu, wysuwać się na plan pierwszy i uwagę widza sobą zajmować. Do takich należą ludzie chorzy, pozbawieni zupełnie świadomości swych czynów, obłąkańcy, niewładający żadnym zmysłem zdrowym, słowem wszystkie objawy zbroczeń tak duchowych jak fizycznych, któremi powinna zająć się medycyna, lecz nie pióro dramatycznego pisarza. P. Grabowiecki dwie główne postaci swojego dramatu wywiódł ze szpitala: Ninę pianistkę i Ludwika, malarza, którego do pomieszczenia zmysłów doprowadziła pusta, lekka a przewrotna kobieta.

Ba! gdyby tak było! Niny przewrotną nawet nazwać nie można. Z *przewrotnością* łączy się zawsze świadomość czynów. Świadomości tej właśnie Nina jest pozbawioną całkowicie. Wybryki Niny nie mogą się nawet jej nieokielznanym temperamentem tłumaczyć. Bywają i tam chwile opamiętania się, wyblysku woli, poczucia odpowiedzialności za czyny dokonane.

Nic podobnego nie widzimy w Ninie. Wzywa do siebie doktora Leona Zaniewicza, rozszalałego we wdziękach niezrównanych, wzywa po to, by przy nim kokietować włoskiego tenora, oburzonego, szeptem namiętnych słów do kolan rzucić i zaraz zapomnieć o wszystkim, a gdy Leon wychodzi, żegnając ją na wieki, zagrozić mu śmiercią swoją. Lecz oto zostawia trucznicę by — zachwycona obrazem malarza, szyję jego namiętnem objąć uściśnieniem. Ta trzykrotna zamiana kochanków odbywa się w akcie pierwszym.

W akcie drugim widzimy Ludwika w chacie zakopiańskiej. Szaleje za Niną, wierzy w jej miłość; chce góry porzucić, dokąd drugi malarz, przyjaciel, do siebie go ściągnął, tak go męczy tęsknota do kochanki. Ale oto przychodzi depesza — Nina zawiadamia Ludwika, że ucieka z innym. Biedny młodzieniec jest w szale rozpacz; chce jeszcze obraz ukochanej w pamięci swej przywołać, rzuca kredką na płótno postać Niny... Wtem: stuk! stuk! do okna. Nina się zjawia, w raj piekło zamienia, uszczęśliwiony Ludwik tarza się u nóg kochanki.

Co znaczy ta depesza? Kto ją w imieniu Niny wysłał? w jaki sposób jej przyjazd poprzedziła tylko o chwil parę? Nie znajdziemy na to odpowiedzi i — zdaje się nam — że i autor nie mógłby niezem innym, jak wybrykiem historycznej kobiety ten niebezpieczny figiel wytłómaczyć.

Między drugim a trzecim aktem upływa lat kilka. Za kulisami Ludwik ożenił się z Niną, za kulisami w ich życie wplątał się jakiś Kamiński, za kulisami nieszczęśliwy ten mąż Niny dostał obłąkania zmysłów.

W akcie trzecim widzimy waryata.

Akt to długi, w którym autor nas zmęczył widokiem okłakańca. Przybył do domu rodzicielskiego z pamięcią tylko krzywdy — upiór nie człowiek! Ta która go doprowadziła do podobnego stanu, nic nie ma do roboty pod dachem tym. Przybwwa jednak. Po co? By rzucić złorzecze-

nie nieszczęśliwemu za swoje życie złamane, za talent zwichnięty, za palce zeszywniałe, nie mogące już uderzyć w klawisze.

Patrzmy na dwoje waryatów: temu nieszczęście umysł zwichnęło, z tamtej—histerya waryatkę czyni.

Nerwowa postać Ludwika nakreślona jest dobrze, mógł zwarjować, ale autor popsuł uczucie grozy, zadługo każąc nam na obłąkańca patrzeć. Nina zaś, jako bohaterka dramatu — dramatyczną nie jest. Wzbudza w nas tylko uczucie litości, tej zwykłej, codziennej litości, gdy patrzymy na chorych, nie władających sobą. Bohaterce takiej chcemy dać adres do Kraft-Ebinga. Miejscem jest dla niej — szpital. Oburzać nas może podłość ludzi, ale bądź co bądź, wiedzących co czynią. Taka Nina, z pod naszego umyka sądu—niech wzmacnia swe nerwy zimnemi okładami, właściwemi dawkami bromu i tem wszystkim, co jej doktor chorób nerwowych zapisze — a wtedy o niej będziemy mówili. Taka jaką jest — jest nieszczęśliwą chorą, a przeto nie stosowną do dramatu postacią.

Jak rzekłem — nie winien tu może talent, lecz zły wybór osób. Są sceny w sztuce o tym talencie świadczące bardzo dobrze. Żywość, ruch sceniczny, efekta końcowe, oderwany wprawdzie ale ładny obrazek w górach — mówią nam o tem.

Nie podajemy tu treści sztuki, podaliśmy główne tylko jej zarysy; ominęliśmy wiele jeszcze postaci dopełniających całości, które są dodatnią stroną dramatu. Autor sam sobie powiększył trudności, wprowadzając tak nienormalną osobę, jaką jest Nina, że opuścił punkt główny, który kolminacyjnym w sztuce tej być powinien. Nim jest pożycie małżonków, łamanie się szczęścia Ludwika i talentu Niny. W tem byłby dramat.

W ogóle prawda psychologiczna w dramacie Grabowskiego szwankuje. Np. Leon — do stóp jej rzucony, odchodzi spokojnie, gdy ona z usmiechem rozmarzenia do śpiewaka włoskiego się zwraca. Nie! — w takiej chwili wybuchu namiętności — wychodzi się — ale nie tak! Zwyciężony — złamał się, zwycięzca — łamie. — Brutalny czyn byłby tu nawet wytłumaczony, lecz nie owo zimne odejście człowieka znieważonego.

A jednak...

W Grabowieckim widzimy talent, talent nawet duży. — Obserwacyi więcej życiowej, prawdy psychologicznej a kto wie?.. Wdzięczni jesteśmy reżyserowi, że nie zamyka wrót teatru talentom nowym. — Wyrobiają się, będzie to częścią jego zasługi.

Kazimierz Gliński.

## Kronika działalności kobiecej.

— W Schronieniu Nauczycielek w Warszawie odbyło się posiedzenie pod przewodnictwem ks. M. Woronieckiej, na którym kasyer p. Bielski odczytał sprawozdanie z obrotu funduszy i czynności w miesiącu lutym. W tym przeciągu czasu przebywało w Schronieniu 35 nauczycielek stypendystek. Stan kasy przedstawia się następująco: Ze Stycznia pozostało 1,268 rs. 95 kop., w Lutym wpłynęło: 531 rs. 90 kop., z tego wydano w Lutym: 636 rs. 88 kop., na Marzec pozostało 1,163 rs. 97 kop. Wizytująca Schronienie w Marcu p. Czarnocka, zastała porządek wzorowy, w Kwietniu obowiązek wizytującej objęła p. Sikorska. Trudności się zjawiają przy kupnie placu pod dom własny z powodu cen wysokich. Sprawą tą zajmie się ksiądz Chełmicki i p. Bielski. Adwokat Wróblewski zawiadomił zarząd, że p. Józefina Witkowska z Wilna, zapisała na rzecz Schronienia 4,000 rs. Jest to istotnie czyn szlachetny, pożyteczny i — na czasie.

— Popierane przez panią Salomeę Chwatową założenie w Warszawie „Towarzystwa Opieki nad dręczonymi dziećmi“, jest na bardzo pomyslniej drodze i ku zadowoleniu swej inicjatorki, statuty niewątpliwie w krótkim czasie potwierdzone zostaną przez odnośne władze. Raz wprowadzone w ruch Towarzystwo, da rozległą sposobność kobietom wchodzenia w nęczę i cierpienia tych małych a wydziedziczonych najbardziej członków społeczeństwa, którzy nawet w domowym kącie doznają krzywdy i rozwijają się ze swoją wszechstronną szkodą fizyczną i moralną. Pani Chwatowa, przy umiejętnej pomocy księcia M. Radziwiłła, już parę biednych dzieci uwolniła ze srogich rąk, niestety ojcowskich, w których dzieci bez szkody pozostawić nie można było. Niezawodnie Towarzystwo Opieki nad dręczonymi dziećmi, znajdzie liczne i szczerze poparcie.

— Panna Gertruda Nehring otworzyła w Berlinie w r. 1896 w jesieni, akademickie kursa artystyczne, dla nauki rysunku i malarstwa, dla kobiet na wzór podobnej Akademii w Paryżu, zwanej „Montparnasse“. Kursy te rozwijają się bardzo dobrze i dopełniają pożytecznie całokształtu zakładów naukowych dla kobiet w Berlinie. Obecnie pani Nehring dodała jeszcze klasę nową, mianowicie portretów i kostiumów, którą kieruje prof. Friedrich Stahl, a na kurs zimowy wprowadzono także zadania artystyczne, z kompozycyi własnych. Szkoła cieszy się licznym zastępem uczennic, jak na zakład dotychczas prywatnymi podtrzymywany siłami.

— W Zurichu dr. praw, p. Anna Mackenroth, zamianowana została urzędowo w publicznej szkole wyższej żeńskiej do udzielania nauki prawa. Szkoła ta jak widzimy i program ma racjonalny, praktyczny i kwalifikacye kobiet wy-

żej ukształconych, spożytkowuje w swym doborze nauczycieli.

— Elżbieta, królowa Rumuńska, nadesłała zaśluzonej redaktorce pisma „Deutsche Hausfrauen-Zeitung“ pani Linie Morgenstern, wielkich rozmiarów fotografię swoją, na tle królewskiej pracowni, wśród artystycznego otoczenia, w jakim lubi przebywać Carmen Sylwa. Równocześnie prosiła Królowa o przysłanie wszystkich dzieł p. Morgenstern i o regularne wysyłanie pisma „Hausfrauen-Zeitung.“ Królowa należy do tych kobiet w Europie, które znają najwięcej języków obcych i piszą nimi jak własnym rodzinnym.

— Miss Fuller mianowaną została w waszyngtońskim porcie Takoma dozorczynią portu. Obecnie właśnie p. Fuller wydaje roczne sprawozdanie z działalności swej na okrętach i w porcie Poraz to pierwszy w Ameryce powierzone kobiecie podobne zadanie do wykonania.

## Z bieżącej chwili.

— Zgodnie z warunkami konkursu, w dzień św. Józefa nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu malarstwa i rzeźby imienia Józefa Kuryerow niegdyś obywatela miasta Warszawy.

— Konkurs urządzony staraniem Towarzystwa sztuk pięknych zgromadził jak wiadomo 32 dzieła z zakresu malarstwa i rzeźby nadesłane przez 28-iu artystów.

— Po dłuższej dyskusyi komitet Towarzystwa sztuk pięknych rozdzielił nagrodę wynoszącą rs. 360, na dwie części przyznając jedną p. Józefowi Rapackiemu za tryptyk p. t. „Dola robotnika“, a drugą p. Henrykowi Piątkowskiemu za obraz alegoryczny „Powiew śmierci.“ Nad sędziowie uchwalili wyrazić podziękowanie komitetu za nadesłane dzieła artystom następującym: p. Henrykowi Weyszenhofowi za „Świt nad jeziorem“, p. Zofii Stankiewiczównie za „Potok“, p. M. Zaremskiemu za obraz „Przed lekcya“ i panu Miłoszowi Kotarbińskiemu za obraz „W polu.“

— Zarząd stowarzyszenia spożywczege „Merkury“ nadesłał nam sprawozdanie z czynności za czas od 1-go Lipca do 31-go Grudnia r. Liczba członków Stowarzyszenia z końcem r. doszła do 2,171. Czystego zysku w okresie sprawozdawczym Stowarzyszenie miało rs. 3,232 kop. 57. W porównaniu z półroczem poprzednim sklepy „Merkurego“ sprzedały towarów więcej o 13,238 rs. kop. 87.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączony jest arkusz 5 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie* przez Ouidę. Przekład Z. S.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

**Treść:** Co szukacie żyjącego między umarłymi (rysunek). — Powstał przez Szczęsną. — Zmartwychwstanie, przez Mieczysława Glińskiego. — Pogawędka, p. ?? — Jak obchodzono u nas dawniej Wielki tydzień i wielkanocne święcone, p. S. O. — Wielkanoc na Starem Mieście, przez Or-ota. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 5 T. II. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycye obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Марта 1898 г.